

Boże, chroń konkordat

19 maja 2008

Lepiej łupnąć kler podatkiem, niż walczyć z wiatrakami.

Robiąc ostry skręt w lewo SLD bierze się za stosunki państwo–Kościół: złagodzenie ustawy antyaborcyjnej, refundacja in vitro, a nawet legalizacja związków partnerskich. Kalisz pozuje do zdjęć z kanadyjskimi gejami, Senyszyn kasa klechów w mediach; antyklerykalny pazur pokazuje nawet grzeczny Olejniczak. Byłoby to piękne, gdybyśmy nie pamiętali czterolatki Millera i Belki, okresu bezwstydných umizgów do Kościoła, kiedy nie ograniczono bodaj o milimetr jego wybujałych przywilejów, ale przyznano mu nowe (ustawa o wolontariacie uwzględniająca na życzenie biskupów parafie i zakony). Nielicznych polityków lewicy, którzy się temu sprzeciwiali, uznano za oszołomów i odsunięto na margines. Taki los spotkał np. senator Krystynę Sienkiewicz, autorkę bardzo rozsądnego projektu opodatkowania olbrzymich dochodów Kościoła.

Demonstracją nowej lewicowości ma być zwołana na koniec kwietnia konferencja z okazji 10-lecia ratyfikacji konkordatu między RP a Watykanem. Trzeba postawić pytanie, czy konkordat w tym kształcie powinien dalej istnieć – mówi Grzegorz Napieralski („Dziennik” z 21 marca). Joanna Senyszyn dodaje: Konkordat można tylko zerwać. Bo umowa międzynarodowa może być zmieniona tylko za zgodą obu stron. (...) Mam nadzieję, że w przyszłości Polska wybije się na niepodległość i zerwie konkordat. Ale najpierw musimy mieć większość w parlamencie.

Co prawda przewodniczący Olejniczak jest zwolennikiem przestrzegania konkordatu, lecz może znaleźć się w mniejszości. „Lewica nie chce już konkordatu” – cieszy się „Dziennik” wychodząc z założenia, że taki postulat mogą dziś zgłaszać jedynie pozbawieni rozsądku radykałowie, którzy wyjdą na świrów i sami sobie politycznie zaszkodzą.

UMOWA WILKA Z OWCĄ

Wynegocjowany przez „państwowca” Jana Rokitę, podpisany przez rząd parafianki Suchockiej (już po rozwiązaniu Sejmu, bez debaty w parlamencie i dyskusji społecznej!), ratyfikowany później pod rządami lewicy – konkordat jest umową nierównoprawną, korzystną dla strony kościelnej. Przyznaje Kościołowi niemal wyłącznie prawa, na państwo nakłada niemal wyłącznie obowiązki. Dlatego „NIE” przez parę lat walczyło z konkordatem. Nazywaliśmy go końkordatem. Przewidywaliśmy, i słusznie, że zawarta za plecami społeczeństwa umowa z Watykanem otworzy bramę do klerykalizacji państwa i prawa.

Cegiełka po cegielce budowano w Polsce państwo wyznaniowe. Powstał olbrzymi gmach, w którym konkordat jest tylko jednym z filarów. Dziś widać, że konkordat sformułowany jest dość ostrożnie. Nie przewiduje bezpośrednio wielkich ustępstw na rzecz Kościoła; raczej uchyla furtki, które później na chłama wyłamano. Z czasem obrósł w przepisy wykonawcze, dorobił się też specyficznej interpretacji wykraczającej daleko poza jego rzeczywistą treść. Ujadające na konkordat młode wilczki SLD-owskie (i kryjące się za ich plecami wyleniałe stare wilczyska) powinny jednak wiedzieć, że większość przywilejów Kościoła w Polsce gwarantują zupełnie inne akty prawne.

RACHUNEK KRZYWD

Nikommu jeszcze nie śniło się o konkordacie, gdy w roku 1989 dogorywająca komuna obdarowała czarnych dwiema ustawami: o stosunku państwa do Kościoła katolickiego oraz o gwarancjach wolności sumienia i wyznania. Pierwsza powołała do życia Komisję Majątkową przekazującą Kościołowi nieruchomości odebrane po II wojnie światowej. Termin składania wniosków o zwrot mienia upłynął z końcem 1992 r. Mimo to komisja działa dalej, napędzana niekończącymi się roszczeniami strony kościelnej. Tylko około 70 proc. przekazanego majątku to nieruchomości przejęte przez państwo po roku 1945. Czarni odzyskują też mienie utracone za sanacji lub pod zaborami i

nie mają oporów przed wywlekaniem krzywd z czasów Łokietka.

Nie jest to zresztą jedyna droga do powiększenia kościelnego stanu posiadania. Ta sama znowelizowana w 1991 r. ustawa przewiduje, że kościelnym osobom prawnym na Ziemiach Odzyskanych można dać państwowe grunty rolne: parafii do 15 ha, diecezji lub seminarium do 50 ha. A skoro można dać, to trzeba. Wbrew prawu ziemię w tym trybie dostają też parafie miejskie i zarabiają miliony na spekulacji gruntami.

Jak Polska długa i szeroka, samorządy przekazują Kościołowi atrakcyjne działki bez przetargu, za 1 proc. wartości lub za symboliczną złotówkę. Parę lat temu fachowcy szacowali (patrz „Zarobki Pana Boga”, „NIE” nr 9/2002), że w efekcie wszystkich tych operacji Kościół zdobył ponad 160 tys. ha gruntów – więcej niż miał przed wojną. Sam diabeł wie, ile tego jest dzisiaj.

KULTOWE BRYKI

Druga z PRL-owskich ustaw dała początek przywilejom celnym i podatkowym Kościoła. Zwolniono z cła dary na cele kultowe, charytatywno-opiekuńcze i oświatowo-wychowawcze, a także maszyny, urządzenia i materiały poligraficzne, z papierem włącznie. Bezczłowy import samochodów „do celów kultowych” stał się procederem przestępczym na Wielką skalę.

Ksiądz nie musi się bać, że każą mu zainstalować kasę fiskalną. Osoby prawne kościołów i związków wyznaniowych zostały zwolnione z podatku dochodowego od przychodów z działalności niegospodarczej (taca, śluby, pogrzeby itd.). Wolne od podatku są też przychody z działalności gospodarczej, jeśli przeznacza się je na cele kultu religijnego, wychowawcze, charytatywne, opiekuńcze, na konserwację zabytków i niektóre inwestycje. A ponieważ finanse Kościoła są tajne, wolne od kontroli władz skarbowych – przyjmuje się, że cały kościelny biznes służy wyłącznie szlachetnym celom religijnym i dobroczynnym. Chociaż pod pojęcie „kultu” podciągnąć można

wszystko, łącznie z pałacem i mercedesem dla biskupa czy utrzymaniem rodzin kleru.

Kościół załatwił sobie też zwolnienie z podatku od nieruchomości. Jeśli dewotka zapisze wielebnym dom, nie muszą oni zawracać sobie głowy podatkiem od spadku, darowizny, opłatą skarbową, sądową czy notarialną. Darowizny na kościelną działalność charytatywną czy opiekuńczą wyłączone zostały z podstawy opodatkowania darczyńcy. Spowodowało to rozkwit przekrętów: dajesz proboszczowi jakąś sumkę, ten wystawia zaświadczenie, że wpłaciłeś np. 10 razy więcej, dostajesz ulgę podatkową większą niż datek. Klecha i nieuczciwy podatnik są do przodu, państwo traci.

RÓWNI I RÓWNIEJSI

Instytucja obdarowana takimi przywilejami wdała się w biznes na gigantyczną skalę. Kościół jest wielkim inwestorem na rynku budowlanym, ma media i udziały w spółkach giełdowych, prowadzi wydawnictwa, biura podróży, hotele (często zwane domami pielgrzyma), szpitale, apteki, ферmy, tuczarnie, przedsiębiorstwa transportowe; wynajmuje lokale, udostępnia wieże kościelne operatorom telefonii komórkowej, handluje prawem do znaków i symboli, np. Jasnej Góry. Trudno to nazwać inaczej niż nieuczciwą konkurencją: firmy kościelne, które nie płacą podatków, odbierają chleb tym, które je płacą.

Opływająca w dostatki armia kilkudziesięciu tysięcy osób w sutannach i habitach nie płaci normalnego podatku PIT. Rzeczpospolita ściąga od księży jedynie symboliczny podatek ryczałtowy uzależniony od wielkości parafii. To jawna i dość bezczelna kpina z konstytucyjnej zasady równości wobec prawa.

Podatnicy utrzymują też Fundusz Kościelny. Utworzono go, żeby zrekompensować Kościołowi skutki reformy rolnej i ustawy z 1950 r. o przejęciu przez państwo tzw. dóbr martwej ręki. Opłaca się z niego ubezpieczenia społeczne i zdrowotne duchownych, którzy nie mają umowy o pracę (nie są np.

katechetami), zakonników i zakonnic, księży studentów i misjonarzy na misjach. Trochę grosza FK przeznacza na remonty obiektów sakralnych. Parę lat temu SLD-owski Senat zorganizował konferencję. Zaproszeni eksperci dowiedli ponad wszelką wątpliwość, że Fundusz Kościelny dawno stracił rację bytu, Kościół odzyskał bowiem z naddatkiem utracone nieruchomości i nie ma żadnych podstaw do wypłacania mu rok w rok rekompensat. Na gadaniu się skończyło.

Konkordat wcale nas nie zmusza do opłacania z budżetu samorządów armii katechetów. Umowa z Watykanem mówi tylko, że szkoły publiczne oraz przedszkola organizują zgodnie z wolą zainteresowanych naukę religii w ramach planu zajęć. Cała reszta – pensje dla katechetów, religia na świadectwach czy najnowsze pomysły czarnych, matura z religii i wliczanie do średniej ocen – to nadgorliwość państwa materializująca się w zmianach ustawy o systemie oświaty i rozporządzeniach ministra edukacji. Te przepisy suwerenne władze RP w każdej chwili mogą zmienić.

Czarni uwielbiają powoływać się na ten artykuł konkordatu, który w ich mniemaniu całkowicie wyłącza Kościół spod jurysdykcji państwa polskiego: Przyjmując za punkt wyjścia w sprawach finansowych instytucji i dóbr kościelnych oraz duchowieństwa obowiązujące ustawodawstwo polskie oraz przepisy kościelne, Układające się Strony stworzą specjalną komisję, która zajmie się koniecznymi zmianami. Nowa regulacja uwzględni potrzeby Kościoła biorąc pod uwagę jego misję oraz dotychczasową praktykę życia kościelnego w Polsce. Czy należy przez to rozumieć, że każda decyzja dotycząca finansów Kościoła wymaga jego zgody? Nic podobnego!

Po pierwsze zawarty w 1993 r. konkordat „zamraża” tylko ówczesny stan prawny i nie może dotyczyć przepisów wydanych później – np. tych o pensjach dla katechetów czy o finansowaniu uczelni katolickich oraz wydziałów teologii na państwowych uniwersytetach (w konkordacie przewidziano jedynie dotacje dla Papieskiej Akademii Teologicznej i Katolickiego

Uniwersytetu Lubelskiego). Po drugiej ratyfikacji konkordatu towarzyszyła deklaracja rządu Cimoszewicza o jego interpretacji. Jasno z niej wynika, że strona rządowa i kościelna negocjują sprawy finansowe w Komisji Konkordatowej, lecz jeśli nie dojdą do porozumienia – państwo robi swoje bez względu na protesty biskupów!

SZTANDAR LEWICY

Fatalna umowa z Watykanem może uchodzić za symbol dominacji Kościoła nad państwem. Hasło zerwania konkordatu brzmi dumnie, rewolucyjnie i może się podobać niektórym wyborcom. Ale wymachiwanie tym sztandarem to pusty gest. Umowy obowiązują, przynajmniej w cywilizowanych krajach. Zerwanie konkordatu – teoretycznie możliwe, gdyby jakimś cudem opowiadająca się za tym lewica zdobyła większość w parlamencie – byłoby okupione potężną awanturą krajową i międzynarodową.

Podsuwamy lewicy inne zawołanie bojowe: opodatkować Kościół! Można to zrobić, nie tykając konkordatu. Taki postulat poparłaby co najmniej połowa, a może i większość społeczeństwa. Wystarczy sięgnąć po stary projekt Krystyny Sienkiewicz, uprzednio oczywiście przeprasząc ją w imieniu partii za błędy i wypaczenia milleryzmu oraz kwaśniewszczyzny.

Autor: Dorota Zielińska

Źródło: [„NIE”, nr 16/2008](#)